

Rozdział Osiemnasty: Z Przyczyn Nienaturalnych
„*Ta robota od początku wyglądała podejrzanie.*”

Nadzieja.

W końcu znalazłam klacz, którą podziwiałam i szanowałam, klacz, która odwzajemniała ów szacunek (a może nawet i podziw). Taką, którą interesowały klacze i, w co mogłam wierzyć, którą przynajmniej odrobinę pociągałam fizycznie. Nie byłyśmy zakochane; ledwo się znałyśmy... ale istniała przynajmniej możliwość, że się w sobie zakochamy. Słowem, była między nami nadzieja.

Ostatnie szesnaście godzin składało się na bardzo długi dzień. Choć bardzo chciałam spędzić jeszcze kilka godzin z Homage, ta z miejsca zorientowała się, że w tamtym momencie nadawałam się jedynie do tego, żeby iść spać. Tak więc odesłała mnie z powrotem do mojego pokoju, gdzie Velvet Remedy wzdychała i cmokała z niezadowoleniem na moimi ranami, dopóki, wyczerpana, nie zapadłam w pozbawiony marzeń sen.

Obudziłam się bardzo późnym rankiem, całkiem wygłodniała... i to nie tylko, jeśli chodzi o jedzenie. Velvet Remedy już wstała i poszła do sklepów, aby z jak największym zyskiem sprzedać wszystko, co Calamity uznał za stosowne zabrać z ruin fabryki Red Racer oraz budynku Ministerstwa Morale. Większość z tego, co zebrałam ja i Velvet miało zostać przeznaczone na nasz własny użytek – żywność oraz amunicja, jak również gruczoły jadowe, które wykołbałam z ogonów mantikor.

Po wszystkim, co przeszła, postanowiłam zostawić lazuruwej klaczy mój pistolet na zatrute strzałki. Miałam wszystko czego potrzebowałam, żeby po powrocie do domu zrobić kolejny. Calamity dokonał już zakupu stołu roboczego (obecnie całkowicie rozmontowanego), który zamierzał zainstalować w Węźle R-7 kiedy tylko tam dotrzemy. Powinno to być już niedługo, nie dalej jak za kilka dni, dzięki części potrzebnej nam do naprawienia *Podniebnego Bandyty*.

Nie zamierzałam jednak opuszczać Wieży, dopóki nie spędzę trochę czasu z Homage... tylko we dwoje.

Więcej niż tylko z ciekawości włączyłam na PipBucku stację DJ Pon3'go, słuchając muzyki, kiedy myślałam i próbowałam nadać sobie jaką taką prezencję. Homage zaczęła już dodawać nowe utwory do swojego repertuaru. Myślałam zębami i usiłowałam pozbyć się wszystkich kołtunów z mojej grzywy i ogona przy akompaniamencie owej niezwykle żywiołowej piosenki o naprawianiu przyjaźni, przy której tańczyliśmy poprzedniego dnia.

— Huu-RA! — zagrzmiął głos DJ Pon3'go, kiedy piosenka dobiegła końca. — Niech nas błogosławią Luna i Celestia, mamy *NOWĄ MUZYKĘ!*

— A wraz z nowymi kawałkami mamy też nowe Wiadomości! Gotowi? Ostatniej nocy, Wybawczyń Pustkowi...

Moja telekineza implodowała, a wszystko, czego używałam spadło na podłogę.

— ...ów dzieciak ze Stajni Dwa, odnalazła i ocaliła tych pocziwych mieszkańców Gutterville! A od jakiego koszmaru ich ocaliła, zapytacie? Przed psychopatycznym ghulem-naukowcem, prowadzącym eksperymenty ze Skazą, który wyhodował sobie niewielką armię mantikor! To właśnie, drogie kuce, jest to, co nazywam zmiażdżeniem dwóch karaluchów jednym kopytem: nie tylko uratowała ponad dwa tuziny kucyków, ale też rozwiązała problem Manehattanu z mantikoramami!

Włożyłam głowę go umywalki, wydając z siebie pół jęk, pół westchnienie. Moja reputacja całkowicie wymykała się spod kontroli. Prawie nie usłyszałam otwierających się drzwi do apartamentu, kiedy stałam tam, zamartwiając się, co teraz będą o mnie myśleć (i oczekiwać po mnie) wszystkie te kucyki. Część mnie była gotowa przysiąc, że Homage po prostu lubiła sprawiać, że wiłam się niczym robak na haczyku.

— Cholera, jak ją spotkacie, to powiedzcie jej, żeby do mnie wpadła. Stary DJ Pon3 chciałby dać jej za to wielkiego buziaka!

Uniosłam gwałtownie głowę, przez co mój róg boleśnie wyrznął o kran.

— Auć!

— Zdajesz sobie sprawę, że są bardziej cywilizowane metody picia wody niż siorbanie jej ze zlewu, prawda? — z drugiego pokoju dobiegł mnie głos Velvet.

Krzywiąc się z bólu dotknęłam rogu, spoglądając na swoje odbicie w lustrze, po czym odwróciłam się w kierunku medycyki. Ciągnęła za sobą niewielki czerwony wózek, wypchany zapasami i sukienkami. Wytrzeszczyłam oczy na owe dość wymyślne, eleganckie kreacje.

— Pomyślałam, że powinniśmy wyglądać jak najlepiej podczas naszej wizyty u DJ'a — powiedziała krótko. Cholera. Zapomniałam o nadchodzącej sesji nagraniowej Velvet. — Nie martw się, znam twój rozmiar. W końcu nie jeden raz owijałam cię bandażami.

Poczułam, że się rumienię.

Wylewitowała w moim kierunku dwie suknie, proste lecz pełne wdzięku.

— Będziesz w nich wyglądać wprost wspaniale, zaufaj mi. Ta po prawo podkreśli twoje oczy. Ta po lewo wspaniale skomponuje się z twoją grzywą i ogonem.

— W takim razie którą powinnam założyć?

— Sama zdecyduj. Albo, jeśli chcesz dodać sobie aury tajemniczości, załóż obie. Znajdź wymówkę, żeby na chwilę wyjść, i przebierz się w połowie wieczoru — Velvet uśmiechnęła się promiennie. — No dalej, bierz je. Żadna dziewczyna nie powie, że można mieć za dużo sukienek.

Skinęłam głową, lewitując je ostrożnie na łóżko, po czym skoczyłam do Velvet i uściskałam ją.

— Dziękuję!

— Och, to nic takiego, moja droga — zarżała ciepło.

*** *** ***

Velvet Remedy oczekiwała, że spotka DJ Pon3'go.

Musiałam porozmawiać z Homage i dowiedzieć się, jak zamierzała to rozegrać. Jeśli uznała, że może ujawnić się mnie, powierzając mi tak ważny sekret, to logicznym było, że zachowa się podobnie wobec moich przyjaciół. Część mnie jednak nie chciała tego. Chciałam, żeby pozostało to naszym małym sekretem – tylko moim i Homage. Czymś wyjątkowym, tylko między nami dwiema. Chciałam, żeby nie powierzała tak wielkiego daru nikomu innemu, nawet Velvet. To była samolubna myśl; wiedziałam, że powinnam się za nią wstydzić. Uspokoilałam swoje sumienie tym, że ten sekret należał do Homage i tylko

ona mogła się nim dzielić, więc to, że ukrywałam go przed moimi przyjaciółmi było właściwą decyzją.

W drodze do windy przechodziłam obok plakatu. Pinkie Pie, jak głosił, nadal mnie obserwowała. ZAWSZE.

Na przeciwnej ścianie wisiał plakat z Fluttershy. Tym razem nie reklamowała Sparkle~Coli, był to prawdziwy plakat jej Ministerstwa.

Wojna? Strach? Śmierć?
Musimy Być Lepszymi Kucykami!
MINISTERSTWO POKOJU

Musimy być lepszymi kucykami. Powinniśmy być lepszymi kucykami. Ja powinnam być lepszym kucykiem.

Rozumiałam, dlaczego Velvet Remedy tak kochała żółtego pegaza. Jeśli byłoby więcej takich jak ona, Pustkowiec Equestrii mogłyby się nigdy nie wydarzyć.

Wciąż kontemplowałam plakat, kiedy z windy wyszła Homage. Jej twarz rozpromieniła się, kiedy mnie ujrzała.

— Ach. Właśnie ten kucyk od tosterów, którego szukałam.

Nigdy nie da mi o tym zapomnieć.

— Homage — westchnęłam, czując jak moje serce trzepoce z lekka na myśl, że ten śliczny szary jednorożec z jaskrawą niebieską grzywą darzy mnie uczuciem. Być może miłością. A w każdym razie jest gotowa dać nam szansę. Samo to było czymś więcej, niż mogłam powiedzieć o jakiegokolwiek innej klaczy w moim życiu. W tym jakiegokolwiek klaczy, którą naprawdę lubiałam. I która w dodatku była naprawdę ładna!

— Tak? — zapytała figlarnie, a ja zaczęłam się jękać.

— Ja... ee...ja, to znaczy my... Kiedy i jak zamierzasz zrobić tą rzecz w tamtym miejscu?

— Tą rzecz w tamtym miejscu?

Zamachałam kopytami w nerwowym zniecierpliwieniu.

— No wiesz. Velvet Remedy? DJ Pon3? Nagrywanie jej muzyki?

— Och! — uśmiechnęła się. — *Tą rzecz w tym miejscu.* Ufasz jej, tak? Kucyki Wieży Tenpony znają mnie jako kucyka DJ'a na posyłki, ale nie bardzo mogę pozwolić na to, żeby rozniósł się, że jestem z nim nieco bliżej niż myślą. Dotrzyma tajemnicy?

Część mnie nie chciała dzielić się prawdą o Homage, ale ukrywanie jej nie byłoby właściwe.

— Zawsze.

*** *** ***

— Ty jesteś DJ Pon3'm?

Homage uśmiechnęła się, wyraźnie rozbawiona zdziwieniem Velvet.

Śpiewaczka zrobiła się na absolutne bóstwo i założyła jedną ze swoich nowych sukni, wspaniałą, purpurową sztukę odzieży, z zamiarem wywarcia zapierającego dech w piersiach pierwszego wrażenia. Teraz co i róż słała mi obrażone spojrzenia.

— Mam tutaj kompletne studio nagraniowe, więc efekt końcowy zależy tylko i wyłącznie od ciebie — powiedziała Homage do Velvet, wchodząc pomiędzy nas. Zaczęłam gapić się na jej boki, okryte jedwabistą suknią, skrzącą się brokatowo, kiedy materiał opinał się na jej...

Velvet się na mnie patrzyła. Zauważyła co robię, a delikatny uśmiech na jej ustach sprawił, że aż skurczył mi się żołądek. Będę miała szczęście, jeśli reszta naszych wspólnych podróży nie odbędzie się przy akompaniamencie utworu pod tytułem „Littlepip i Homage całują się...”

DJka oprowadziła szybko Remedy po swoich włościach, pomijając dach oraz Ateneum, lecz za to popisując się przed nią swoim małym studiem nagraniowym znajdującym się obok A.S.N.M.N.M. Medyczka wyglądała, jakby była w siódmym niebie. Nieważne, jak bardzo zaprzeczała, nieważne, jak bardzo chciała być lekarką, jedynym kucykiem, którego zdołałaby przekonać, że nie czerpie nieporównywalnej z niczym radości ze śpiewu była ona sama.

Kiedy Velvet weszła do pomieszczenia nagraniowego, Homage skupiła swoją uwagę na wyposażeniu studia, machając rogiem nad deską rozdzielczą pełną przełączników i zegarów, na której po chwili zapłonęły rzędy kolorowych światełek. Mnie pozostało jedynie usiąść w kącie i cieszyć się muzyką.

Velvet podeszła do mikrofonu.

— Próba mikrofonu. Jak mnie słyszysz, DJ... jak powinnam się do ciebie zwracać?

— Homage, kiedy jesteśmy razem — odparł szary jednorożec.

Poczułam kompletnie irracjonalne ukłucie zazdrości, kiedy rozmawiały o byciu „razem”. Pacnęłam się kopytem w czoło. Tego typu uczucia były równie niedorzeczne, co uwłaszczające.

— Przestań zachowywać się jak głupi kucyk, Littlepip! — wyszeptałam do siebie pod nosem.

— Masz tu naprawdę wspaniały sprzęt, Homage — powiedziała z podziwem medyczka, po czym swobodnie (zbyt swobodnie) zapytała. — Nie masz może przypadkiem gdzieś tutaj także warsztatu?

Homage uniosła wzrok znad tablicy rozdzielczej.

— Owszem. Czemu pytasz?

— Och, to znakomicie. Littlepip pracuje nad pewną rzeczą i potrzebuje miejsca, gdzie nikt nie będzie jej przeszkadzał — oznajmiła Velvet. Teraz poczułam się naprawdę głupio z powodu owego ukłucia zazdrości; nawet tuż przed występem, który usłyszy niedługo cała Equestria, ona nadal myślała o tym, jak mi pomóc.

— Podejrzewam, że ów projekt zajmie jej *całą noc* — powiedziała Velvet konspiracyjnie. — Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli spędzi u ciebie noc?

Na solarne orgazmy Celestii!

— Ależ skąd, z chęcią... — Homage zamruczała jak kocica — ...pozwolę się jej u mnie *przespać*.

Byłam zgubiona.

— Możemy zaczynać.

Róg Velvet Remedy rozbłysnął. Wnętrze studia wypełniło wielobarwne światło i wspaniała, elektryzująca muzyka. Homage patrzyła z zachwytem. Uśmiechnęłam się, dobrze wiedząc, jakie wrażenie potrafił wywrzeć występ śpiewaczki.

— *Muzyka to moje remedium...*

*** *** ***

Cztery godziny później szłam z Homage przez korytarz pełen sklepów. Velvet była niesamowita. DJka uległa jej prośbom, pozwalając jej zaśpiewać każdą piosenkę po kilka razy, tak żeby miała pewność, że każde nagranie było doskonałe. Skończywszy śpiewać, moja piękna towarzyszka była kompletnie wyczerpana, opuściła nas więc, udając się do naszego apartamentu, aby się zdrzemnąć.

Od tego czasu Homage nie robiła nic, poza zachwycaniem się występem Velvet i nową jej muzyką. Na szczęście nie odczułam już z tego powodu żadnych ukłuć zazdrości. Tak po prawdzie, to sama byłam zachwycona. Spędziliśmy z szarą klaczą ponad godzinę, przeżywając na nowo koncert medycy, niczym para nastoletnich fanek.

Pierwsza piosenka była starym przebojem ze Stajni Dwa (jeśli miałabym przypisać Velvet „jej” piosenkę, to była by nią właśnie ona), druga także była popularna za jej dni w Stajni. Trzeci utwór był jej wersją kawałka, o którym powiedziała mi kiedyś, że został wykonany w Hoofbeats przez pierwszego DJ Pon3'go i Pinkie Pie; wybrała go specjalnie dla DJ Pon3'go – to właśnie tą piosenkę zaczęła śpiewać w Strzaskanym Kopycie, i w końcu dane było mi usłyszeć ją w całości! Wywarła piorunujące wrażenie na Homage. Mogłabym bez końca patrzeć, jak szara klacz piszczy z radości!

Ostatnia była piosenka, którą Velvet tworzyła już w trakcie naszej wędrówki. Ta, która, jak powiedziała, była o mnie. Nie wiedziałam, czy mam się zapaść pod ziemię, czy rozplynać ze wzruszenia.

Doszliśmy do krawędzi balkonu, patrząc w dół na piętro poniżej, wypełnione eleganckimi sklepami (wliczając jeden, w którym sprzedawano wyłącznie wino, oraz jeden, w którym oferowano jedynie ser, obecnie zamknięty). Kiedy podeszliśmy do prowadzących w dół schodów, zamarłam. Na dole, SteelHooves przechadzał się między sklepami, jak gdyby nigdy nic zaglądając w witryny i podziwiając wystawione tam dzieła sztuki. Dookoła niego kuce zatrzymywały się, żeby popatrzeć; niektóre ustępowały mu z drogi. Zobaczyłam, jak matka chowa za sobą spoglądającą na niego ciekawie małą klaczkę.

— Twój przyjaciel wzbudza poruszenie wśród mieszkańców — zauważyła Homage.

Zaśmiałam się krótko.

— Zapewne wyższe sfery Tenpony nie są przyzwyczajone do widoku kucyków w magicznym pancerzu wspomagany — zastanawiałam się, czy jego opancerzone kopyta nie rysowały tutejszych, pretensjonalnie wypolerowanych podłóg.

— Cóż, jest Stalowym Strażnikiem. To wystarcza, żeby przyciągał uwagę.

To nie był pierwszy raz, kiedy ktoś, komu ufałam sugerował, że Stalowi Strażnicy cieszyli się mniej niż nienaganną reputacją.

— Dlaczego?

Homage spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Podróżujesz w towarzystwie Strażnika — powiedziała powoli — chociaż nic o nich nie wiesz?

Otworzyłam usta, żeby powiedzieć jej, że wiem, że byli... czym? Znałam ich z plakatów, ale one miały ponad dwieście lat. Prawda była taka, że nie znałam Stalowych Strażników. Znałam SteelHoovesa. W każdym razie wiedziałam o naszym okrytym zbroją, enigmatycznym towarzyszu więcej, niż reszta naszej kompanii. Widziałam Wspomnienie. Wspomnienie, które, jak zakładałam, należało do niego.

— Cóż... Wygląda na to, że tak. Opowiedz mi o nich.

Homage zaprowadziła mnie do stolika w małej, aczkolwiek nie taniej restauracji. Kelnerka podała nam menu jak tylko usiadłyśmy, robiąc wyniosłą minę, tak jakby jej klienci byli niższą kastą społeczną. Przeglądając kartę, ponownie odkryłam, że wszystkie dania były jedynie udziwnionymi wersjami przedwojennego jedzenia.

Pokręciłam głową, odkładając menu.

— Pięćdziesiąt kapsli za purre z bananów, które mogę za darmo znaleźć w lodówce w jakimś na wpół zawalonym budynku? Dziękuję, postoję. To, że usmażą je w paskach i wyplutą z nich koszyczek wcale nie usprawiedliwia tej ceny.

Homage uniosła brew.

— Pamiętaj, że większość mieszkających tu kucyków nie przetrwała by na zewnątrz nawet dnia. Pomiędzy nimi a tym „darmowym jedzeniem” są bandyci, łowcy niewolników, zbuntowane roboty strażnicze, a czasem nawet mantikora albo dwie — rozejrzała się po pozostałych gościach restauracji, po czym nachyliła się w moją stronę i wyszeptała. — Prawda jest taka, że na moje oko to większość z nich nie dałaby sobie rady nawet z karaluchami. Zdeptały by jednego, po czym reszta by je zagryzła, kiedy tamci próbowaliby z niekontrolowaną odrazą zdrapać z kopyta jego resztki.

Spojrzałam na przedstawicieli i przedstawicielki elity Wieży Tenpony. Prawdopodobnie miała rację.

— Zapasy Wieży wyczerpały się kilka pokoleń temu. To, co sprzedają teraz zostało zdobyte przez poszukiwaczy, speców od przeczesywania ruin Manehattanu w poszukiwaniu jedzenia. Na szczęście, przed wojną były tam niezliczone sklepy, restauracje i składy, więc łowy są zazwyczaj równie owocne, co niebezpieczne. Owe kuce jednak nie nadstawiają karku za darmo. A biorąc pod uwagę, jak napromieniowana jest woda, to ciężko jest komukolwiek oczyścić jej wystarczająco dużo, żeby założyć nawet maleńki ogródek. Dla restauracji takiej jak ta, świeże produkty nie wchodzą w rachubę.

Rozważałam przez chwilę jej słowa, po czym na nowo podniosłam kartę dań.

Zamówiłam koszyczek z bananowego purre oraz butelkę wina. Okazało się ono być zaskakująco pełne smaku.

— Stalowi Strażnicy — wyjaśniała Homage przy kieliszku wina — to dawna gwardia Ministerstwa Technologii Wojennych. Postrzegają siebie jako rycerzy dawnej chwały, która według nich związana była z postęпами Equestrii w zakresie techniki i przemysłu, oraz uważają się za powierników technologii, którą pomogło stworzyć ich Ministerstwo.

— Prawdę mówiąc, większość była by bardziej zainteresowana ocaleniem twojego PipBucka niż ocaleniem samej ciebie.

*** *** ***

Po obiedzie zabrałam Homage na popołudnie w spa. Ostatni raz był tak cudowny, że po prostu musiałam podzielić się z nią tym przeżyciem.

Szara klacz poprosiła, żeby znajdujące się w lokalu małe radio ustawiono na stację DJ Pon3'go. Sądząc po ich minach, obsługa nie pochwalała działalności tego kochającego ghule renegata, jednakże była przyzwyczajona do tego rodzaju próśb. Podejrzewałam, że nowa muzyka sprawiła, że popularność stacji biła rekordy.

Jedna ze ślicznych pracownic spa nakładała mi właśnie na twarz oczyszczające i rewitalizujące błoto, kiedy z radia wybuchnął głos DJ Pon3'go

— Dobry wieczór, dzieciaki!

Spojrzałam na Homage, zaskoczona. Mrugnęła do mnie, zanim zakryto jej oczy plasterkami ogórka.

— Mam do was pytanie, moi wierni słuchacze. Czy którekolwiek z was widziało kiedyś... ducha? Zaraz pewnie powiecie „Ależ, drogi DJ'u! Nie ma czegoś takiego jak duchy! W Manehattanie opowiada się o nich historie o czasie, kiedy babcia mojej babci była małą klaczką, ale nikt nigdy żadnego nie widział. Historie o duchach są zmyślane, nie wiedziałeś?” Cóż, a co gdybym ja, wasz głos na pustkowiach, powiedział wam, kiedyś *widziałem* ducha? I wcale nie mam tu na myśli heroicznych Mieszkanek Stajni, które w cudowny sposób przeżywają upadek z klifu w pędzącym pociągu, nie tym razem.

Jęknęłam głośno. Zamknęłabym też oczy, ale już zakryto je mi kawałkami warzyw.

— A więc, to było kilka lat temu, kiedy właśnie wyszedłem z nieprzyjemnej sytuacji z jedną z tych mantikor, więc jechałem wtedy na haju po Dash'u i Stampede. Ale ona tam była, przysięgam na Celestię. Nigdy już jej nie widziałem, nie zdołałem też odnaleźć miejsca, w którym się na nią natknąłem. Na pustkowiach widuje się jednak czasem bardziej zwariowane rzeczy niż ktokolwiek może sobie wyobrazić.

Później, kiedy kucyki ze spa zajmowały się naszymi kopytami i rogami, zapytałam Homage:

— Czym jest Stampede?

— Och, to mieszanka Rage'a i środków przeciwbólowych — odparła. — Znalazłam na niego przepis z przyjaciółką w ruinach kliniki M.P. kiedy byliśmy młodsze.

Ogarnęło mnie zaniepokojenie.

— Przyjaciółką? Poznasz mnie z nią kiedyś?

— Nie. Obawiam się, że moja przyjaciółka nie przetrwała naszych starań, aby dostać się do Wieży

Tenpony.

*** *** ***

Czułam się cudownie odświeżona i zrelaksowana. Nasza wizyta w spa była przyjemnie intymna, a reszta wieczoru zapowiadała się równie wspaniale.

Kiedy wychodziłyśmy, Homage szepnęła mi do ucha:

— Nagrałam ten fragment na zapas. Dobrze, jeśli czasem kucyki zobaczą mnie w publicznym miejscu kiedy DJ Pon3 „prowadzi” właśnie audycję.

Skinęłam głową, odrobinę się na nią gapiąc. Kąpiel błotna to był pierwszy raz, kiedy widziałam ją bez sukienki lub szlafroka. Jej znaczek wyglądał jak głośnik lub megafon. Tak czy tak, doskonale do niej pasował. Rozumiałam też, dlaczego kryła go pod eleganckim ubiorem; jeśli ktokolwiek podejrzewałby, że jest kimś więcej niż asystentką DJ Pon3’go, to jej znaczek byłby aż zbyt oczywistym na to dowodem.

Podbiegły do nas trzy małe kucyki, dwa żrebaki i jedna klaczka. Dwa najmłodsze miały lzy w oczach; ogierek starał się je powstrzymywać, podobnie jak klaczka, która patrzyła na nas z nadzieją.

Homage jęknęła.

— Pani Homage — najstarszy zawołał, kiedy się zbliżyli — DJ Pon3 mówi, że tata próbował obrabować Bohaterkę Pustkowi, i że dlatego jest w więzieniu. To prawda?

— Naprawdę to zrobił?

— Tata nie mógłby!

Niech mnie wyruchają księżycem. Księżycem, słońcem, oboma na raz. Zgwałćcie mnie na śmierć.

Homage wyglądała na bardzo zakłopotaną. Powiedziała jednak prawdę:

— Tak, moje dzieci. Obawiam się, że tak właśnie było.

— Ale naprawdę tego żałuje... — wtrąciłam, choć wiedziałam, że Monterey Jack żałuje jedynie tego, że wszystko się wydało — ... i jestem pewna, że go wypuszczą. Ja...

Umilkłam, krzywiąc się, z wolna dobierając słowa.

— Jestem pewna, że Mieszkanka Stajni jest bardzo zasmucona, widząc go w więzieniu.

— Uratuje go? — powiedziała klaczka z taką nadzieją w głosie, że o mało się nie przewróciłam.

— Dlaczego miałaby to zrobić? — odparł jej starszy brat. — Groził jej i próbował ją okraść.

Posłałam Homage pozbawione nadziei spojrzenie.

— Nie wypuszczą go — powiedział średni brat. — Powieszą go za dwa dni.

*** *** ***

Chodziłam po Ateneum tam i z powrotem, a Homage obserwowała mnie ze smutkiem.

— Nie możesz nic zrobić.

— Właśnie, że mogę!

Westchnęła z melancholią.

— Rozumiem, dlaczego czujesz, że powinnaś. Nawet, jeśli to całkowicie jego wina. Ale z tego co mówiłaś, on wcale nie chce, żeby ktoś mu pomógł.

Parsknęłam.

— W takim razie nie dam mu wyboru. Ma trójkę dzieci, które go potrzebują. Są ważniejsze niż jego pokręcone poczucie honoru.

— Littlepip — jęknęła Homage. — Dopiero się poznałyśmy. Nie chcę cię tak szybko stracić.

Zamarłam, zszokowana.

— Stracić mnie?

Szara klacz odparła ze zniecierpliwieniem:

— Jeśli coś zrobisz i zdołasz przetrwać walkę ze strażnikami, ani ty, ani twoi przyjaciele nigdy nie będziecie mogli nawet zbliżyć się do Wieży Tenpony.

Odwróciłam się i spojrzałam jej w oczy. Błyszcząły w nich łzy.

— Byłabym z tobą zawsze, gdziekolwiek byś nie poszła. Po prostu włączyłabyś radio, a ja bym tam była. Ale... ty nie mogłabyś być ze *mną*.

Usiadłam ciężko, rozumiejąc nagle, co musiałabym poświęcić.

*** *** ***

Szłam z wolna po Linii Celestii, a dookoła mnie zapadała noc. Velvet Remedy oraz SteelHooves szli za mną w kolumnie. Calamity poleciał na zwiad.

Powiedziałam im tylko, że idę się przejść. Wszyscy natychmiast odparli, że idą ze mną. Tylko

Velvet zapytała, w cztery oczy, czy miałam ku temu jakiś powód. Widziała, że coś mnie gnębiło i martwiło ją, że nie zostałam na noc z Homage. Calamity chyba najzwyczajniej chciał rozprostować skrzydła. SteelHooves po prostu poszedł z nami, bez żadnego komentarza. Czułam, że poszedłby wszędzie tam, gdzie ja, choć nadal nie wiedziałam, dlaczego.

Prawda była taka, że choć naprawdę chciałam spędzić noc z Homage, to byłam zbyt roztrzęsiona, żeby móc się nią cieszyć. Potrzebowałam świeżego powietrza. Oczyszczyć głowę. Odwrócić czymś swoją uwagę.

Na szczęście, szary jednorożec nie tylko mnie rozumiał, ale nawet poparł mnie w moich zamiarach.

Róg medyczki oświeślał nam drogę; nawet nie potrzebowałam włączać lampy w PipBucku. Cicha noc owinęła się wokół nas niczym koc, przebijany z rzadka odległymi krzykami i odgłosami strzałów. Za każdym razem Calamity odlatywał, żeby je sprawdzić. Czasem wracał z wieścią, że to tylko poszukiwacze walczący z dzikimi zwierzętami; zazwyczaj jednak nie był w stanie dowiedzieć się niczego. Raz, po jego zniknięciu usłyszeliśmy kilka odległych strzałów – dobrze znałam odgłos jego siodła bojowego. Nie słyszałam, żeby ktoś odpowiedział ogniem, ale i tak wszyscy się zatrzymaliśmy, pełni obaw. Wrócił po kwadransie, niosąc worek pełen zdobycznego łupu.

— Gniazdo bandytów. Grupka kuców ziemnych z włóczyniami i młotami bojowymi — wyjaśnił z uśmiechem. — Tacy nigdy nie spodziewają się pegaza!

Wylądował i podał mi torbę pełną metalowych jabłek.

— Nie mieli żadnej amunicji, ale za to mieli to.

SteelHooves zaoferował, że je weźmie. Z nas wszystkich jedynie on jako tako potrafił się nimi posługiwać.

— Musimy kiedyś znaleźć ci coś, co nie wybucha podczas walki.

Pegaz podał Velvet drugą torbę, w której znajdowało się kwadratowe pudełko ze ściętymi rogami.

— Apteczka była zamknięta, więc po prostu przyniesłem ją tu w całości.

— „Przyniosłem” — poprawiła go medyczka, przejmując torbę.

— To właśnie żem powiedział.

Śpiewaczka przewróciła oczyma, zarzucając worek na grzbiet i przypinając go do uprzęży jej juków. Nie musieliśmy jej od razu otwierać. Mogliśmy to zrobić, kiedy dotrzemy do najbliższej stacji Four Stars.

Dostarczywszy prezenty, Calamity ponownie odleciał.

*** *** ***

Najbliższa stacja Four Stars okazała się być sceną masakry. Patrzyłam, jak SteelHooves stąpa między ciałami ponad trzydziestu ghuli. Większość z nich wyglądała, jakby zostali skoszeni ogniem kilku minigunów. Silne eksplozje wyrwały dziury w ścianach stacji oraz domach, które zbudowano w i naokoło niej.

Miejsce wypełniał wilgotny odór zwłok ghuli. Bzyczenie much było jednostajnym szumem, który przypominał mi jęk świateł w Stajni Dwa.

Velvet Remedy uciekła trzysta jardów w górę linii, nie mogąc znieść widoku. Calamity przeszukiwał ciała.

— Grupa Rottingtaila — oznajmił w końcu SteelHooves, długo po tym, jak sama się tego domyśliłam. Jego głęboki głos pozostawał neutralny. Żałowałam, że nie mogę zobaczyć jego skrytej pod hełmem twarzy.

— SteelHooves? — zapytałam ostrożnie. — Wszystko w porządku?

— Dlaczego coś miałoby być nie w porządku? — zapytał, tym samym neutralnym tonem. Zbyt neutralnym. Coś w sobie tłumił, nie wiedziałam, czy nieokiełznaną radość, czy płomienny gniew. — A co z tobą? Zauważyłem, że nie bierzesz udziału w grabieży. Jakby powiedział Calamity, oni już niczego nie potrzebują, a nam może się coś z tego przydać.

A więc według niego, ograbianie ghuli było w porządku, a Stalowych Strażników już nie? Nie podobało mi się to, choć po zastanowieniu musiałam przyznać, że znacznie gorzej zniósłabym przeszukiwanie zwłok mieszkańców Stajni.

— Spalę ich — oznajmiłam. — Kiedy tylko Calamity skończy ich przeszukiwać. Jeśli chcesz, możesz do niego dołączyć.

— Ciekawe — odparł SteelHooves, został jednak ze mną.

Jego reakcja na moją reakcję była dla mnie równie interesująca, jak, najwyraźniej, moja reakcja dla niego. Pomimo makabrycznych okoliczności, postanowiłam spróbować lepiej zrozumieć mojego nowego przyjaciela.

— Ja... słyszałam to i owo o Stalowych Strażnikach. Nie mają zbyt... heroicznej reputacji.

— Tak siebie postrzegasz? — rzekł. — Jako bohaterkę?

Wzdrygnęłam się, lecz szybko domyśliłam się, że próbuje zmienić temat.

— A ty? Jak ty siebie postrzegasz?

— Jako tradycyjnistę.

Dobra, co to do cholery miało znaczyć? Podjęłam ponownie:

— Mówiono mi, że większość Stalowych Strażników bardziej interesuje ratowanie technologii niż ratowanie kucyków? A ciebie?

SteelHooves milczał.

— Podążasz za nami tylko po to, żeby chronić mojego PipBucka? — naciskałam.

Strażnik parsknął śmiechem, po czym, posępnie, ujawnił odrobinę prawdy o sobie.

— Każdy Stalowy Strażnik składa tę samą przysięgę. Istnieje jednak... rozbieżność poglądów co do tego, czy powinniśmy być wierni Klaczy Ministerstwa, czy też samemu Ministerstwu.

Mówił o „Ministerstwie”, tak jakby istniało tylko jedno. Lub przynajmniej tylko jedno, które miało jakiegokolwiek znaczenie.

— To aż taka różnica? — zapytałam, Calamity jednak wrócił, zanim mogłam otrzymać odpowiedź, a SteelHooves nie zamierzał mi się zwierzać przy pozostałych.

— Chyba mam wszystko, czego potrzebuję.

— Masz silny grzbiet jak na pegaza — zauważył żartobliwie SteelHooves. — Jesteś pewien, że nie chcesz zabrać także mebli?

Lotnik stęknął, machając skrzydłami. Ignorując przytyk Strażnika, rozważałam zawartą w jego wcześniejszych słowach ukrytą prawdę.

— Calamity, chyba powinienes odnieść to wszystko do naszego apartamentu. Dogonisz nas, będziemy nadal na Linii Celestii.

Mój przyjaciel uśmiechnął się, uchylając runda kapelusza.

— Zrobi się! — i już go nie było.

Skupiłam się, a ciała ghuli jedno po drugim otaczał blask mojej magii. Ułożyłam je w stos. Następnie odeszłam na bezpieczny dystans, idąc po jednej monoszynie, podczas gdy SteelHooves szedł po drugiej. Odwróciłam się, wyjmując karabin zebr i posłałam w stos pół magazynka. Zwłoki zaczęły płonąć.

Doszliśmy do Velvet Remedy, która z dziwną fascynacją patrzyła się na ogień. Spojrzałam za siebie, próbując domyślić się, co tak przykuło jej uwagę.

Nad stosem płonących ciał krążył skażony feniks.

*** *** ***

„Powtarzam. Ponownie, mówi Blackwing ze Szponów Blackwing, z wezwaniem o pomoc na wszystkich przyjaznych częstotliwościach. Przekażcie tę wiadomość do wszystkich kompanii Szponów w okolicy. Ja i mój oddział zostaliśmy uwięzieni przez siły wroga na dachu Wieży Horseshoe. Kończy nam się amunicja i nie będziemy w stanie wytrzymać zbyt długo. O... o nie.. nadchodzą kolejne!...”

Wiadomość radiowa urwała się raptownie, po czym zapęłniła się, powtarzając słowa gryficy. Jej głos brzmiał młodziej i nie tak twardo jak Gawd.

Mój PipBuck zaczął odbierać wezwanie o pomoc ponad milę od Wieży Horseshoe. Sygnał był

słaby, ale Horseshoe była kiedyś jednym z najwyższych budynków w całej Equestrii i najwyższym drapaczem chmur pozostałym w Ruinach Manehattanu, z łatwością przewyższającym ponad dwukrotnie Wieżę Tenpony.

„Do wszystkich odbierających tę wiadomość, mówi Blackwing ze Szponów Blackwing. Proszę, potrzebujemy pomocy. Zostaliśmy przygwożdżeni na dachu Wieży Horseshoe przez przeważające siły wroga. Kończy nam się żywność i amunicja, straciliśmy troje członków naszego oddziału. Desperacko potrzebujemy wsparcia. Jeśli ktokolwiek to słyszy, proszę, sprowadźcie pomoc. Pospieszcie się. Nie wytrzymamy długo. To zapętlona wiadomość. Powtarzam. Ponownie, mówi Blackwing...”

Wyjęłam z ucha słuchawkę i puściłam nagranie z głośnika kiedy kilka byliśmy przecnic od drapacza chmur. Miałam nadzieję, że Calamity dogoni nas zanim dotrzemy do należącej do wieżowca stacji Four Stars, ale nie miałam zamiaru na niego czekać. Z każdym kolejnym powtórzeniem, wiadomość napelniała mnie rosnącą świadomością uciekającego czasu.

— Wchodzimy — ogłosiłam, po czym, po przemyśleniu, dodałam. — Ja wchodzę. Wy możecie zostać tutaj jeśli chcecie. Zrozumiem to — machnęłam ogonem. — Poza tym, ktoś powinien dać znać Calamity'emu, gdzie jesteśmy.

SteelHooves zarżał.

— Osobiście, to nie mogę się doczekać, żeby poznać owych szlachetnych zabójców ghuli — spojrzał na mnie. — A ty dlaczego tam idziesz? Starasz się być bohaterką? Lubisz ryzykować życiem dla nieznajomych? A może chodzi o coś związanego z Wieżą Horseshoe?

Wbiłam wzrok w mojego towarzysza, po czym uśmiechnęłam się.

— Och, ja po prostu chcę się dowiedzieć, w jaki sposób grupa gryfów utknęła na *dachu*.

Strażnik zaśmiał się. Zwróciłam się do Velvet Remedy.

— Nie pójdziesz tam *sama* — powiedziała stanowczo, z ponurym uśmiechem i tupnięciem kopyta. — Poza tym, możemy zostawić Calamity'emu wiadomość — umilkła na chwilę. — On *potrafi* czytać, tak?

Przewróciłam oczyma.

— Tak, i dobrze o tym wiesz — następnie rozważyłam jej pomysł i okazało się, że nie mam pojęcia, jak wprowadzić go w życie. Wciąż miałam notatnik i ołówek z posterunku Wieży Tenpony, jednakże notka pozostawiona pod kawałkiem betonu mogłaby zostać łatwo przeoczona. Żeby pegaz mógł ją zobaczyć, musielibyśmy namalować ją wielkimi literami na dachu stacji. Nawet wtedy jednak przeoczyłby ją, gdybyśmy nie podświetlili jej w jakiś sposób. Podzieliłam się moimi uwagami z Velvet.

— Na wypadek, gdybyś przegapiła mój wcześniejszy pokaz świateł, przypomnę ci, że iluminacja nie będzie problemem — śpiewaczka uśmiechnęła się krzywo. — Mogę rzucić na litery czar, który sprawi, że będą naprawdę przykuwały wzrok.

— A nie możesz po prostu wyczarować świecących słów?

Velvet pokręciła głową.

— Owszem, ale tylko jeśli zostałabym tutaj, aby podtrzymać czar. Aby tego uniknąć, muszę zaczarować istniejące słowa. Najlepiej namalowane farbą, chyba, że uda nam się znaleźć naprawdę duży

kałamarz.

SteelHooves zarżał, przechodząc obok nas w kierunku podwójnych drzwi prowadzących ze stacji do Wieży Horseshoe.

— Więc namalujemy je krwią pierwszego wroga, jakiego napotkamy — odwrócił się i kopnął drzwi tylnymi nogami, tak mocno, że nie tyle otworzyły się do środka, co poleciały wgląd pomieszczenia za nimi. Skrzywiłam się, dziękując Boginiom, że nie było ono pełne nieprzyjaciół. — Ruszamy?

*** *** ***

Pomogłam Velvet Remedy przejść nad ciałem gryfa, powiększonym prawie dwukrotnie przez wciąż znajdujące się na nim siodło bojowe z dwoma minigunami. Były to pierwsze zwłoki jakie napotkaliśmy, które nie leżało tu od setek lat. Podłoga usiana była łuskami po nabojach, czyniącymi chodzenie po niej cokolwiek zdradliwym.

Nie byłam w stanie powiedzieć, co go zabiło. Martwiło mnie to. Jeszcze bardziej zaniepokoiło mnie, kiedy Velvet orzekła pełnym niedowierzania głosem, że śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych.

— Przynajmniej wiemy teraz, że szli tędy — stwierdził Strażnik. — Zaczynałem się martwić, że droga na górę jest odcięta.

Duża część wnętrza Wieży zawaliła się. Klatki schodowe popękały, korytarze pozapadały się. Cały budynek stał się labiryntem, zmuszającym nas do krążenia z pokoju do pokoju, aby przedostać się z jednego końca korytarza na drugi, albo do zejścia piętro niżej, aby znaleźć schody prowadzące dwa piętra w górę.

Z przodu dobiegł nas dźwięk lejącej się wody. Mój PipBuck zaczął cichutko tykać.

Jedyną drogą prowadzącą do kolejnej klatki schodowej była dziura w ścianie pomiędzy dwoma łazienkami. Talizman wodny budynku nadal pompował wodę, emitującą niewielkie dawki promieniowania, przez popękane rury. Bomba ogniowa prawdopodobnie napromieniowała sam talizman.

Upewniłam się u Velvet Remedy czy mamy odpowiedni zapas AntyRadu. Skazony prysznic to pestka, nic, czym warto by się przejmować. Był on jednak zwiastunem czekających na nas gorszych rzeczy, więc chciałam mieć pewność, że jesteśmy na nie gotowi.

Wstrzymując oddech, przebrnęłam przez kaskadę wody najszybciej, jak tylko mogłam. Zachwiałam się z lekka kiedy przemoknięta podłoga ugięła się pod mną o cal.

— Dobra, w porządku. SteelHooves, przeniosę cię i postawię tam — powiedziałam, wskazując na odległy kąt pomieszczenia, w pobliżu drzwi. — Ta podłoga nie jest stabilna.

Velvet Remedy została z tyłu. Skupiłam się na Strażniku, owijając go płaszczem telekinezy. Powoli uniosłam ciężkiego kuca pół jarda nad podłogę i przeniosłam przez fontannę tryskającej wody. Zrobiłam krok w tył, ponownie czując, jak uginają się pod mną deski, i zaniósłam go do wcześniej upatrzonego punktu, gdzie, byłam właściwie pewna, powinno być sucho i stabilnie.

SteelHooves był w połowie drogi, kiedy zobaczył przez otwarte drzwi coś, co sprawiło, że zaczął się rzucać, starając się stanąć na powrót na ziemi.

Zanim zdążyłam go na niej postawić lub choć zapytać, co widzi, w drzwiach pojawił się alikorn.

Westchnęłam, zszokowana, a moja magia implodowała. Opancerzony kucyk wylądował ciężko i obrócił się, aby otworzyć ogień do stwora, ale podłoga pod nim zarwała się. Spadł, znikając mi z oczu. Usłyszałam z dołu plusk wody. Alikorn zrobił krok naprzód, spoglądając w dół przez dziurę, kiedy zarwała się reszta podłogi. Próbowała rozłożyć skrzydła, ale uderzyły one o framugę, przez co spadła na piętro pod nami.

Stałam obecnie na mokrej, uginającej się desce wystającej nad przepaścią niczym trampolina. Co było całkiem na miejscu, biorąc pod uwagę, że na piętrze pod nami znajdował się basen pływacki.

Mój PipBuck zaczął tykać z wielkim entuzjazmem.

Alikorn rzucał się w wodzie, usiłując wydostać się spośród unoszących się w basenie szczątków. Jej róg zaczął świecić. SteelHoovesa nigdzie nie było widać, zapewne od razu poszedł na dno.

Żałowałam, że nie mam jego torby granatów. Musiałam działać szybko, ale mój umysł nie był w stanie wystarczająco szybko myśleć! Alikorn osłonił się swoją tarczą, zanim coś wykombinuję!

Ka-BLAM!!!

Wybuch tuż obok mojej głowy rozerwał mi bębni w uszach. Świat utonął w napiętym, piskliwym szumie. Od razu straciłam równowagę i spadłam z niby-trampoliny. Wylądowałam na pływającym fragmencie podłogi, który od razu zaczął się przechylać.

Chwyciłam go telekinezą, wydając z siebie krzyk, który poczułam, choć go nie słyszałam. Skupianie się na magii stało się torturą.

Przedemną w wodzie, pośród szczątków i krwi, unosił się alikorn. Velvet Remedy odstrzeliła jej swoją strzelbą bojową duży fragment szyi. Jeszcze żyła, ale utrata krwi ścigała się z utonięciem o to, kto ją wcześniej wykończy.

Zobaczyłam z przerażeniem, że rana alikorna zaczyna się goić i zasklepiać.

Kurwa, one się *regenerują*?

To *nie było fair*! To nie było *w porządku*!

W przypiływie gniewu zaczęłam chwycić telekinezą ostre, szpiczaste kawałki desek z podłogi i dźgać nimi szyję alikorna dopóki nie odcięłam jej w ten sposób głowy. Stwór zatonął w czerwonej, radioaktywnej wodzie.

*** *** ***

Velvet Remedy klęczała obok mnie, z rogiem w pobliżu mojego lewego ucha. W prawym już przywróciła mi słuch.

SteelHooves stał obok nas na krawędzi basenu, ociekając wodą, która sprawiała, że mój PipBuck terkotał szaleńczo. Kłócił się z medyczką o to, jak bardzo potrzebował AntyRadu. Velvet skłaniała się ku temu, żeby wypić cały, jaki tylko mamy. On zaś utrzymywał, że nie potrzebuje go wcale.

Moje lewe ucho zaczęło odzyskiwać sprawność.

— Nie mamy na to czasu — tupnął Strażnik, krusząc kopytem kafelki na podłodze. — One zawsze poruszają się w grupach.

— Więc przestań zachowywać się jak dziecko i zażyj AnyRad — warknęła Velvet. — Doprawdy, czy wszyscy moi pacjenci muszą sprawiać mi takie problemy?

Miałam ochotę zwrócić jej uwagę, że ja leżałam spokojnie, absolutnie bezproblemowo.

SteelHooves sapnął gniewnie. W końcu, odezwałam się:

— Powiedz jej.

Oboje spojrzeli na mnie. A przynajmniej zakładałam, że SteelHooves się we mnie wpatrywał. Przód jego hełmu zwrócony był w moją stronę.

— Co miałby mi powiedzieć? — śpiewaczka zapytała mnie powoli, po czym wbiła wzrok w opancerzonego kuca. — Co?

Strażnik milczał.

Westchnęłam.

— Słuchaj, skoro ja się domyśliłam, to ona też to zrobi. Jest mądrzejsza ode mnie.

Widać było, że Velvet zmuszała się, żeby nie zareagować na komplement.

SteelHooves w końcu się poddał.

— Jestem ghulem.

Trzeba przyznać medyczce, że nie zrobiła kroku w tył. Nawet nie westchnęła. Po prostu przez dłuższą chwilę dziwnie milczała. Wystarczająco długą, że martwiłabym się, że ponownie straciłam słuch, gdyby nie ciągłe kap-kap-kap kropelek wody spadających na kafelki wokół Strażnika.

— Promieniowanie działa... regenerująco na ghule — przyznał. — Groziło mi raczej utonięcie.

Po prawdzie, nawet to mu nie groziło, biorąc po uwagę, że jego zbroja miała wbudowany aparat oddechowy.

Oczywiście, zdałam sobie sprawę, czując się głupia i powolna: alikorn regenerował się, bo wpadł do basenu. Promieniowanie musi na nie działać w ten sam sposób.

— Cóż, w takim razie nie będziesz ich potrzebował — skonkludowała swobodnie Velvet, chowając woreczki z AntyRadem z powrotem do jednej z jej metalowych apteczek.

*** *** ***

Wiedząc, że jestem spośród nas najlepsza w skrytym poruszaniu się, uznałam, że powinnam udać się na zwiad. Dostrzegłam dwie siostry alikorna z basenu w pomieszczeniu na następnym piętrze. Stały tyłem do mnie, nieświadome mojej obecności, najwyraźniej skupione na próbie wyrwania magią drzwi sejfów z zawiasów. Były ciemnofioletowe, prawie czarne. I nie było to wszystko, co zauważyłam.

One nie mają uroczych znaczków!

Wyjęłam karabin snajperski i przesłam w zen czar S.A.T.S.

BLAM!!

Pierwszy alikorn upadł ciężko, a jej mózg obryzgał sejf, na którym była tak bardzo skupiona. Druga zaczęła się odwracać, przywołując swoją tarczę. Byłam jednak szybsza. Poza tym, te stworzenia nie były wcale silniejsze od reszty z nas, kiedy zaskoczyło się je bez ich czarów ochronnych.

BLAM!!

Wyszłam z S.A.T.S kiedy ciało drugiego alikorna opadało na podłogę. Spojrzałam na sejf, a znajdująca się na nim plama krwi i kawałków mózgu i kości przypomniła mi, że nie wróciliśmy, żeby namalować wiadomość dla Calamity'ego.

Chwila. Moment.

Patrzyłam na krew kogoś... lub przynajmniej czegoś co właśnie zamordowałam... i pomyślałam o tym?

Czy naprawdę stawiałam się tak nieczuła na koszmary i przemoc wypełniającą Pustkowia Equestrii?

Zastanawiałam się, gdzie Monterey Jack umieściłby mnie na swojej skali „utruty siebie”.

Ciekawiło mnie też, czego szukały tu alikorny. Podeszłam do sejfu, aby otworzyć zamek. Ten jednak nie chciał dać się otworzyć. Po oględzinach i chwili zmagania, zdałam sobie sprawę, że nie zaciął się ani nie został uszkodzony przez alikorny. Po prostu nie byłam wystarczająco dobra.

Cóż, wiedziałam, jak temu zaradzić.

Uśmiechnęłam się, kiedy Imprezowy Mint-al przepędził całą głupotę i otępienie, które mnie spowalniały. Odetchnęłam głęboko z ulgą. W końcu znowu byłam sobą.

Mój uśmiech zniknął, kiedy odwróciłam się i zobaczyłam Velvet Remedy, patrzącą na mnie ze smutkiem.

*** *** ***

Kolejne trzy alikorny stały po drugiej stronie ziejącej przepaści. Co najmniej pięć pięter wewnątrz budynku zawało się, resztki pokoi otaczały przepastną dziurę niczym plaster miodu. W otchłani między nami wirowały drobiny pyłu i popiołu.

SteelHooves otworzył ogień ze swojego automatycznego granatnika, zabijając jedną z nich (i przy okazji niszcząc wszystkie pomieszczenia wokół niej) zanim zdołała osłonić się tarczą. Pozostałe dwie wzbily się w powietrze, rozpościerając skrzydła i otaczając się bąblami pola siłowego.

Wzywając pomocy Luny, wylewitowałam Wspomnienie, upewniając się, że była to ostatnia impreza Pinkie Pie, a nie to, które znalazłam w sejfie siedem pięter niżej. Skierowałam je magią w kierunku bliższej z dwójki wrogów.

Alikon zaśmiał się, strasznie, gorzko i majestatycznie, a dźwięk jej śmiechu odbił się echem od ścian przepaści. Używając swojej telekinezy, wytrąciła mi Wspomnienie rzuconym krzesłem. Kryształowa kulka zawierająca wspomnienie ostatniej imprezy Pinkie Pie spadła w otchłań, gdzie odbiła się, potoczyła, aż w końcu zniknęła w jakiejś szczelinie, utracona na zawsze.

Głos ciemnofioletowego alikorna zagrzmiął z niezaprzeczalną wyższością.

— Masz nas za głupców? Pamiętamy, jak nas kiedyś zabiłaś!

Cholera, mieliśmy przesrane!

— W nogi! — krzyknęłam, odwracając się i galopując w kierunku schodów.

Velvet Remedy i SteelHooves cwałowali za mną, wyprzedzając mnie, kiedy wybiegałam z klatki schodowej do korytarza przede mną.

Odwracając się przez ramię, kazałam SteelHooves'owi zawalić przejście za nami. Jego automatyczny granatnik był bezużyteczny przeciwko tarczom alikornów, jednakże nie można było tego samego powiedzieć w przypadku walącego się budynku dookoła nas. Beton i drewno runęły z hukiem, wzbijając chmurę pyłu.

— Co się stało? — zapytał gniewnie Strażnik.

Dyszząc, wyjaśniłam:

— Używają jakiegoś rodzaju telepatii... — moje obawy się potwierdziły — ...nie tylko pomiędzy tymi z jednej grupy. Wszystkie. Za każdym razem, kiedy jakiegoś zabijamy, każdy z nich się uczy — nie będę w stanie zaskoczyć ich dwa razy w ten sam sposób.

Zawalenie drogi za nami dało nam chwilę wytchnienia, jednakże niezbyt długą. Byłam w stanie usłyszeć je oczyszczające sobie przejście po drugiej stronie.

Pośród błysku światła, jeden z alikornów pojawił się wśród nas.

— Potrafią się *teleportować*!? — krzyknęła Velvet Remedy, w końcu osiągając ten sam poziom pełnego nienawiści niedowierzania w stosunku do tych stworzeń, co ja.

Alikorn sam wydawał się być nieco zaskoczony. Najwyraźniej teleportacja do miejsca, którego nie mogły zobaczyć była trudna nawet dla nich. Nie sadzę, żeby przewidywała, że znajdzie się tak blisko nas. Szkoda, że nie zmaterializowała się o jard na lewo lub na prawo, prosto w ścianie. Ale nie, to już by było za dużo szczęścia.

Chociaż z drugiej strony... Zdałam sobie sprawę z bardzo szczególnego faktu. Otaczająca alikorna sferyczna tarcza była na pełnej mocy, jednakże stwór pojawił się dokładnie w samym środku naszej grupy. Fragmenty naszych ciał były wewnątrz bariery. W tym metalowy zad SteelHooves'a.

Alikorn zaczął rzucać czar. Poczułam, jakby serce ścisnęło mi imadło. Zaczęły mi mrowić kopyta.

Czar ataku serca? Czując rosnącą panikę podczas gdy moje serce walczyło o każde kolejne uderzenie. Nagle zrozumiałam, że alikorny zabił gryfy przy pomocy „przyczyn naturalnych”.

— Ruchy! — krzyknęłam, chwytając telekinezą worek granatów. SteelHooves ruszył z kopyta, zostawiając go w moim uchwycie. Nie otwierając go, tak, żeby nie ujawnić jego zawartości, skupiłam się, starając się wyciągnąć tyle zawleczek, ile tylko mogłam. Niestety, manipulowanie przedmiotami, których nie mogłam zobaczyć było dla mnie równie trudne, jak teleportacja na ślepo dla alikorna. Zdołałam wyciągnąć jedynie trzy, zanim nie musiałam opuścić wnętrza tarczy.

Alikorn spojrzał pytająco na worek, kiedy ten upadł jej do stóp. Jej tarcza bardzo efektywnie zamknęła w sobie eksplozję. Był to wspaniały, krwawy widok.

*** *** ***

— Cóż, to by wyjaśniało jak gryfy utknęły na dachu — powiedziałam sucho.

Musieliśmy pozbyć się jeszcze czterech alikornów, zanim dotarliśmy na dach. Kombinacja mojego skradania oraz potężnej siły ognia SteelHooves'a utrzymywała nas przy życiu, ale robiło się coraz trudniej. Wiedziały już o naszej obecności i wydawały się koordynować swoją obronę. Byliśmy zmuszeni uciekać za każdym razem, kiedy zdołały się osłonić czarami, a nie byliśmy na tyle szybcy, aby pozbyć się więcej niż dwóch zanim reszta nie rzuciła swoich zaklęć ochronnych.

Na dachu były cztery kolejne stwory. Siedziały w bezruchu na czterech rogach dachu, skupione na jego centrum. Zamiast otaczać siebie sferami ochronnej magii, te tutaj wspólnie utrzymywały półsferę pola siłowego, które trzymało najemników w zamknięciu.

— To dla mnie coś nowego — mruknął obok mnie SteelHooves.

— Dzięki niech będą Wielkiemu Jaju — wyrwało się jednej z nich, kiedy zobaczył nas poprzez świecącą skorupę magii, która więziła ją oraz jej dwie ocalałe towarzyszki, nagle jednak zamarła. — A gdzie reszta?

Rozejrzałam się dookoła. Obok mnie stali Velvet Remedy oraz SteelHooves. Tylko Boginie wiedziały, gdzie był Calamity. Podejrzewałam, że krążył nad Linia Celestii, w nadziei, że nas dostrzeże. Skrzywiłam się na myśl o nim i miałam nadzieję, że nie martwił się za bardzo. Na niebie widziałam pierwsze, nikłe oznaki zbliżającego się świtu.

W grzywie poczułam chłodny wiatr, niosący słonawy zapach portu. Prawie żałowałam, że dotarliśmy tu w ciemnościach nocy. Za dnia musiał się stąd rozciągać wspaniały widok.

Z drugiej strony, ów widok mógłby mnie przyprawić o paraliżujące zawroty głowy. Lepiej więc chyba, że przybyliśmy tu nocą. Zwróciłam się do trójki gryfów:

— To wszyscy. Tylko my.

— Niezbyt dobra ekipa ratunkowa — powiedziała gorzko jedna z nich.

— Wiesz, co to takiego wdzięczność? Jeśli nie, to poszukaj sobie w słowniku.

Odwróciłam się, aby przyjrzeć się alikornom. Skoncentrowane, wyglądały niczym posągi. Nie byłam nawet pewna czy zdawały sobie sprawę z tego, że byliśmy z nimi na dachu. Poza tym, były poza tarczą, którą tworzyły. Mogliśmy pozbyć się trzech z nich w skoordynowanym ataku. Gryfy na pewno będą w stanie załatwić ostatniego.

— Jakim uzbrojeniem jeszcze dysponujecie?

Usłyszałam, jak SteelHooves zagwizdał, kiedy jedna z nich wyszła naprzód. Miała na sobie coś, co wyglądało jak magiczny pancerz wspomagany przeznaczony dla gryfów – nie aż tak skomplikowany i nie zapewniający takiej ochrony jak ten należący do SteelHooves'a, pozostawiający jej szpony, nogi oraz skrzydła nagimi, podobnie jak większość jej twarzy – z siodłem bojowym wyposażonym w największe, jakie kiedykolwiek widziałam, trzylufowe, strzelające coś.

— Zdemontowane działko AA — powiedział z uznaniem Strażnik. Nie miałam pojęcia, co to znaczy, ale wyglądało ono jak nie-magiczna wersja działka plazmowego, którego Calamity użył przeciwko smokowi.

Cóż, zdecydowanie dysponowaliśmy potrzebną siłą ognia.

— Zostało mi tylko pięć naboí — powiedziała ponuro gryfica. Tak czy tak, pięć strzałów z czegoś takiego wystarczy, żeby....

— A w drodze tutaj są cztery skrzydła tych rogatych sukinsynów — oznajmiła pierwsza gryfica. Po jej głosie w końcu zidentyfikowałam ją jako Blackwing. Zanotowałam w myślach, że ja nie użyłabym określenia „rogaty” w stosunku do alikornów. Chyba, że ona wiedziała coś, czego ja nie.

— Cztery skrzydła? — zapytałam. — To znaczy jeszcze dwa alikorny?

— Nie — wtrącił się SteelHooves. — To znaczy, że jeszcze dwanaście.

— Och. Cóż... cholera — to miało sens. „Skrzydło” musiało oznaczać trójkę alikornów. To by wyjaśniało, dlaczego trzy z nich polowały na SteelHooves'a na obrzeżach Fetlock.

— Te cztery uwięziły nas tutaj i czekają na posiłki — poinformowała nas Blackwing.

Zaraz...

Uniosłam uszy.

— W takim razie w porządku. Jestem prawie pewna, że pozbyliśmy się ich w drodze na górę! — policzyłam w myślach. Jeden w basenie. Dwa przy sejfie. Trzy w wielkiej dziurze. Jeden z nich przeżył, i dołączył do trzech innych. Tak więc zabiliśmy...

..dziewięć. Zostały jeszcze trzy. W jakiś sposób zdołaliśmy przejść obok całego skrzydła, tak, że ani my, ani one nie zdawały sobie z tego sprawy.

Mogły wdrzeć się na dach w każdej chwili. Musieliśmy się śpieszyć!

*** *** ***

Szybko wyjaśniłam mój plan i wszyscy zaczęli zajmować swoje pozycje. W międzyczasie nie mogłam się powstrzymać, żeby nie podzielić się z Blackwing moimi wątpliwościami.

— Czego tu szukaliście, że tamte stwory aż tak bardzo tego chcą?

— Kodów do sejfu w Ministerstwie Wizerunku, na Pasażu Ministerstw — odparła, zaskakująco otwarcie. — W sejfie znajduje się artefakt, który nasz pracodawca bardzo chciałby mieć w swoim

posiadaniu. Okazuje się, że owa „bogini”, której służą te monstra także chciałaby go mieć.

— Jaki artefakt? — zapytałam, lewitując Little Macintosha i sprawdzając bębenek. Zamierzałam użyć magicznej amunicji, dla pewności.

— Czarna Księga. Cóż, Czarna Księga tego-czy-tamtego. Wolumin zawierający opis części z najmroczniejszej magii zebr. Takiej, która może rozerwać duszę kucyka na kawałki, jak powiadają. Albo przyzywać dusze z grobów.

Nekromancja.

Sama myśl, że takie zaklęcia i moce istnieją przyprawiała mnie o koszmarnie dreszcze. O ile wiedziałam, żaden kucyk nigdy nie użył tej mrocznej sztuki; wydawało się czymś okropnym to, że mogły to robić zebrzy. Nekromancji nie uważano nawet za coś rzeczywistego – miała to być jedynie straszna historyjka, opowiadana, aby nastraszyć małe klaczkę na piżamowych imprezach.

Jeśli to w poszukiwaniu takich okropieństw Ministerstwo Wizerunku zarzucało swe sieci, książkowe czystki nabierały nowego, straszego wymiaru. Zaczęłam się zastanawiać, czy konfiskata „ideologicznie niekompatybilnych” książek nie była, przynajmniej w części, jedynie zasłoną dymną. Bo na Boginie, *nie można było* powiedzieć opinii publicznej, że zebrzy posiadały wiedzę o nekromancji, a tym bardziej, że mówiące o niej książki przedostały się do Equestrii!

Pojęcie nekromancji zebr dodawało niepokojące nowe oblicze faktowi, że kucyki znajdujące się na obrzeżach strefy wybuchu megaczaru zmieniały się w ghule i kucyki-zombie.

Podczas gdy ja rozmawiałam z Blackwing i rozważałam implikacje, jakie niosła ze sobą Czarna Księga, SteelHooves i Velvet Remedy dyskutowali o naszych przeciwnikach. Udało mi się usłyszeć koniec ich rozmowy.

— ...wszystkie nie mają takich samych zaklęć. Tylko te ciemnofioletowe, jak te ze skrzydeł na dole, potrafią się teleportować — wyjaśniał SteelHooves. — Za to te granatowe...

— Niewidzialność — wtrąciła Velvet. — O tak, dobrze to pamiętam.

— A ciemnozielone? Nigdy nie widziałem, żeby robiły coś, czego nie potrafiłyby pozostałe — Strażnik podszedł do jednego z posągowych alikornów i przyjrzał się jego włosiu, o odcieniu ciemnej, niemal czarnej zieleni. — Aż do teraz.

Butcher, gryfica z ciężkim działkiem, stała w pogotowiu przed najdalszym z alikornów. SteelHooves celował do siedzącego na lewo ode mnie. Strzelba medyczki (kiedyś należąca do mnie) lewitowała o cal od skroni alikorna na lewo. Ja sama uniosłam Little Macintosha, celując między oczy ostatniego, siedzącego przede mną.

— Na trzy. Raz... Dwa...

Pośród przypominającego grom huku wystrzałów i eksplozji, trzy alikorny umarły. Ich tarcza opadła. Ostatni natychmiast ożył, stając błyskawicznie na nogi, czujny i...

...wystrzał z działka gryficy, byłam pewna, usłyszano nawet na księżycu. Czwarty alikorn po prostu przestał istnieć.

Blackwing wzbiła się w powietrze, chwytając mnie szponami, podczas gdy druga lżej obciążona

gryfica zabrała Velvet. Owinęłam SteelHooves'a polem lewitacyjnym, unosząc go z nami. Ostatnia najemniczka także wystartowała, osłaniając nasze tyły.

Byliśmy kilka przecznic dalej, kiedy pozostałe trzy alikorny wdarły się na dach. Część mnie chciała roześmiać się tryumfalnie. Potem jednak przypomniały nam, że one także potrafią latać. Oraz że, nieobciążone, były od nas znacznie szybsze i zwrotniejsze.

Oslaniając się magicznymi polami siłowymi, ruszyły, aby skrócić dzielący je od nas dystans.

Zamknęłam oczy, usiłując zmusić mój wspomagany IM-ami mózg do znalezienia wyjścia z tej sytuacji. Po raz pierwszy, Imprezowe Mint-ale mnie zawodziły.

— Kurde, tak se patrzę, że przydałaby się wam pomoc!

Tylko raz tak się ucieszyłam słysząc głos Calamity'ego, i było to podczas mojego starcia ze smokiem. Otworzyłam oczy, spoglądając na niego z wdzięcznością.

— Mam nadzieję, że masz jakiś plan, bo mnie skończyły się pomysły.

— Po prostu lećta za mną! — uśmiechnął się Calamity, po czym wystrzelił na przód, obniżając wysokość.

Okazuje się, że jedynym kierunkiem, w którym mocno obciążone gryfy mogą lecieć nawet szybciej od alikornów, jest: w dół. Nadal nas ścigały, ale zyskiwaliśmy nad nimi przewagę.

— Mam nadzieję, że lecimy w kierunku fabryki materacy — zaskrzeczała Blackwing. — Bo jeśli nie, to będzie to naprawdę krótki lot!

Spojrzałam za siebie. Dzielił nas od alikornów spory dystans, tak, że widać je było tylko jako świecące chorobliwą zielenią bańki, mknące po niebie w naszym kierunku.

— Zaczniście się wznosić! — krzyknął w odpowiedzi Calamity.

— Czy on sobie zdaje sprawę... — stęknęła gryfica niosąca Velvet — jak trudno... jest się wznosić... lecąc tak szybko... i z takim balastem?

Widziałam, jak szybko zbliża się ku na ulica, kiedy zaczęliśmy wyrównywać lot. Uśmiechnęłam się, myśląc, jak dużo wszelkiego śmiecia miał w zwyczaju zbierać Calamity. Nie miałam wątpliwości, że odpowiedź brzmiałaby „tak”.

Trzy gryfy w końcu wyrównały, z ledwie kilkoma jardami zapasu, ocierając się o wyższe wraki powozów pod nami. Poczułam, jak szoruję kopytem o dach powozu pasażerskiego. Alikorny zaczynały się zbliżać. Z rogu jednej z nich wystrzeliła błyskawica, przelatując obok nas.

Przed nami, ulica kończyła się wielkim parkingiem. Rzędy powozów dostawczych stały przed długim budynkiem. Dzięki wyjątkowej czystości postrzegania, danej mi przez Imprezowe Mint-ale, dostrzegłam logo na dachu budynku, kiedy się do niego zbliżaliśmy: czarne pole w kształcie symbolu omegi, z białym kucykiem ziemnym, który wydawał się lewitować nad grzbietem paczkę.

Nagle zrozumiałam, jaki jest plan. Mgnienie oka przed tym, jak pegaz zaczął strzelać.

Włączyłam mój Błysk Pola Widzenia, sprawdzając szybko oznaki życia pod nami. Miałam jedynie chwilę, ale IM-y poprawiały moją spostrzegawczość i ocenę sytuacji. Widziałam tylko czerwone punkty, krążące tu i tam. Prawdopodobnie karaluchy. Usłyszałam serię pyknięć, kiedy śmignęliśmy ponad powozami i dachem.

Alikorny właśnie dotarli do parkingu, lecąc zbyt szybko, żeby się zatrzymać, kiedy pierwsze pojazdy zaczęły wybuchać, niczym miniaturowe megaczary. Pierwsza eksplozja natychmiast wywołała kolejne, i trzy przecznice miasta pochłonęła erupcja szalenie kolorowej kaskady jaskrawego światła.

Ich tarcze nie mogły ochronić ich przed *czymś takim*. Uderzenie radiacji nie było w stanie ich uleczyć, kiedy działała na nie siła rozrywająca je na poziomie molekularnym. Nie mogły nawet krzyknąć w myślach. Nie zdążyły. Trzy alikorny po prostu zniknęły.

Budynek osłonił nas akurat na tyle, żeby nas ocalić przed śmiercią, po czym wyparował. Mój PipBuck zawył, kiedy dotarła do nas fala gorąca i radiacji. Mój E.F.S wyświetlił mi powiadomienie, że cierpiałam na zatrucie radiacyjne, zanim przestał działać, tak jak cały PipBuck.

Chwilę później rozbiliśmy się.

Przypis: Następny Poziom.

Nowy Profit: Potężna Telekineza (poziom trzeci) – Twoja telekineza jest na poziomie Twilight Sparkle. Potrafisz z łatwością unieść wiele przedmiotów naraz; a jeśli odpowiednio się skupisz, to być może uniesiesz nawet Małą Niedźwiedzicę!

=====

Od tłumacza: Kolejny rozdział! Jej! Następny w przeciągu tygodnia-dwóch. Stay tuned, my little ponies!